

## **Małgorzata Wołczyk: Fundamentalisci z Argentyny na Starym Kontynencie wytrawnych sceptyków**

"Wiesz - mówiła mi jedna z dziewczyn - ile razy Padre dowie się, że któryś z naszych wyrwał się na piwo -klęczy i modli się przez następne godziny w jego intencji"



"Wiesz - mówiła mi jedna z dziewczyn - ile razy Padre dowie się, że któryś z naszych wyrwał się na piwo -klęczy i modli się przez następne godziny w jego intencji"

- *Czy widzieliście kiedyś na oczy Argentyńczyka?* -zapytał z figlarną miną ksiądz rozpoczynający niedzielną Mszę w jednej z ursynowskich parafii. *Jeden już się tu kręci, reszta dojedzie w środę* -dodał po chwili.

Taka zapowiedź gości, wzmocniona wymowną mimiką niechęć zdradziła mieszankę uczuć, jakich doświadczali też zapewne parafianie podejmujący młodych pielgrzymów w ramach ŚDM. Odrobinę niefortunny żart, jakby chodziło o dwugłowego osiołka albo inne rzadkie w naturze zjawisko był zdaje się przejawem kłopotliwej niewiedzy z kim też przyjdzie nam się spotkać w ramach wydarzeń zapowiadanych już od grudnia. Nasza warszawska parafia wydawała się przecież niebyłą oazą, przygotowaną na każdy rodzaj egzotycznych przybyszów z odległych stron świata. A już zwłaszcza z Argentyny, której słynne sanktuarium w Lujan przekazało na ręce ś.p. Kardynała Glempa kopię swej cudownej figurki Madonny dla którejś z powstających wówczas świątyń. Boczna kaplica kościoła z Virgen Maria była więc magnesem, który ściągnął umówionego dnia grupę 42 osób ubranych w nietypowe w tym krajobrazie błękitno- białe poncho. Pielgrzym jest też zawsze odrobinę wygnańcem, o czym zdradzały ich zmęczone twarze, ramiona uginające się pod ciężarem plecaków i zdezorientowane spojrzenie, które w nowej scenerii nie odnajdowało żadnych znajomych punktów pocieszenia. Niemożność porozumienia się z wolontariuszami, rodzinami oferującymi nocleg potęgowała po obu stronach poczucie bezradności. Takie były początki, zanim na pomoc nie został wezwany najwyższy czynnik integrujący wspólnotę: Trzy Osoby Boskie.

O przykrych konsekwencjach pyszałków budujących wieżę Babel zdarzyło się zapewne myśleć wszystkim, zaangażowanym w te 6 dni wspólnego wyznawania wiary. Niemal kompletna nieznajomość angielskiego po stronie gości była równie zaskakująca, jak powszechna nieznajomość hiszpańskiego po stronie gospodarzy. Brak dostępu do wykwalifikowanego, dyspozycyjnego tłumacza, którego asysty pielgrzymi mieli prawo się spodziewać, nie odbił się jednak żadnym zniecierpliwieniem, skargami czy frustracją. W ruch szły ręce, tablety z translatoem Google, telefony i całe bogactwo mimiki. Pozostaje jednak żałować, że powierzchowność tych kontaktów/komunikatów naprędce sygnalizowanych pozostawi w świadomości obu wspólnot obraz niepełny a może nawet krzywdzący. Przyznam, że gdybym nie znała języka i nie miała dzięki temu możliwości wniknięcia w stan ich ducha, wrażliwości i bogactwo doświadczeń- pozostałyby mi ledwie wizualne wspomnienia ich wielkiej otwartości, uśmiechu. Także zadziwienie odmiennością ich "tików" religijnych i spontanicznością okazywania uczuć. Brak dostępu do tłumaczy w tej czy innych parafiach z całą pewnością można wytłumaczyć sytuacją finansową i niemałymi wydatkami poniesionymi i tak na rzecz gości. Zastanawiam się jednak, czy nie kryje się za tym zwyczajowa u nas megalomania. Myślenie, że nam- rodakom św. Jana Pawła II nie grozi bynajmniej żadna konkurencja i nikt nas nie przebije ani żarliwością religijną ani potęgą ducha. Jakim cudem niby młodociany przybysz, wezwany przez Papieża do "robienia rabanu" mógłby udzielić nam lekcji wiary? A może jednak...

Ojciec Roman Balossino - były i wieloletni rektor prywatnej katolickiej szkoły pod auspicjami biskupstwa w Cordobie - przywiózł ze sobą 40 wychowanków w wieku od 14 do 24 lat. Część z nich jest już studentami i absolwentami tej renomowanej placówki, która stawia

sobie za cel wysoki poziom nauki i jeszcze wyższy poziom wtajemniczenia w życie Ewangelią na co dzień. Co roku dwóch lub więcej absolwentów wstępuje w progi seminariów lub domów zakonnych, bo wiele wysiłków skierowanych jest na pomoc w odkrywaniu powołania do życia konsekrowanego. Czterdziestosześcioletni ksiądz Roman wyglądał jak skromny brat-łata, ale autorytet, z jakim po cichu i bez zgrzytów ogarniał żywioł 40 nastolatków windował go w rejony charyzmatycznych przywódców duchowych. Nie miał jednak nic wspólnego z dobrze znanym nam typem księdza, który chcąc zjednać sobie młodych: i na piwko wyskoczy i dwuznacznym dowcipem rzuci. Żadnych umizgów względem młodocianej natury, żadnych pochlebstw i udawania luzaka. Dla większości tych młodzików stanowił uosobienie czułego ojca i jednocześnie wymagającego nauczyciela, któremu ufa się bezwzględnie i powierza nie tylko sekrety na spowiedzi, ale też codzienne powikłane sprawy. Jego cicha, stała i dyskretna obecność między swymi wychowankami to nie przejaw nadgorliwej kontroli ale więź wytworzona przez lata wspólnych przeżyć i misji. Tak, jego młodzież to wykwalifikowana kadra misjonarzy, która dwa razy w roku podróżuje w odległe zakątki Argentyny, żeby głosić miłość Chrystusa, w miejsca do których nikt nie chce przyjechać nawet za pieniądze. Zagubione w półpustynnych rejonach osady nędzy i tradycyjnych autochtonicznych wspólnot egzystują siłą inercji, braku innych możliwości i przywiązania do ziemi przodków. Dodajmy, że "spalonej" ziemi, bo temperatura ponad 45 stopni w lecie powoduje wysychanie nawet wody w jedynej studni. Dostawy wody zlecane przez gubernatorów regionu nie zaspakajają potrzeb, toteż za dnia życie zatrzymuje się leniwie, a mieszkańcy wioski poszukują skrawków cienia. Nieco inaczej wygląda sytuacją "zimą" ale i wtedy warunki życia są na tyle odstrasające, że nauczyciele i lekarze uciekają zanim na dobre osiadą. Fakt, że kierowcy ciężarówek dowożących okresowo cysterny z wodą opłacani są lepiej niż jakakolwiek grupa zawodowa

podyktowany jest strachem władz przed strajkiem pracowników zaopatrzenia. O ile wioska zdoła przeżyć bez nauczyciela, o tyle uzależniona od dostaw wody czy leków nie przetrwa. Nastoletni wychowankowie ojca Balossino przywożą zawsze własny kontener wody i zapasy jedzenia w puszkach, choć akurat dostawa żywności jest tu najmniej ważna. Wszędobyłskie kozy, które jako jedyne najlepiej zaadaptowały się do tutejszych warunkach stanowią jedyny i stały rezerwuuar żywności. Głównym zajęciem młodych jest świadczenie o miłości Boga, rozmowy, katechezy i zajęcia z wioskową społecznością. Przygotowują ich dzieci do Pierwszej Komunii, do sakramentu bierzmowania.

W małej kaplicy, jedynym murowanym budynku w całej okolicy odprawia się Msze i nabożeństwa, na które tutejsza wioska oczekiwała przez pół roku od ostatniego spotkania. Nocą kaplica służy za sypialnię. Uczniowie śpią na twardych ławkach, albo w hamakach, posypując podłogę trutkami na skorpiony i żmije. Gdy zdziwiona lekkością tej relacji, kontrastem między zadbaną twarzą pięknej blond Argentynki (o arystokratycznych korzeniach), a detalami opowieści jak się trzeba chronić przed wielkimi pajakami -pytam lekko wstrząśnięta: "*A nie boicie się ukąszenia, wypadku gdy pomoc medyczna tak daleko?*" Sofija posyła mi w odpowiedzi jeszcze bardziej zdziwione spojrzenie: "*ale Margarita jak zaufasz Panu to co ci się może stać??*" Wielokrotnie zresztą, w rozmowach z młodocianymi pielgrzymami poczułam, że mimo przewagi wieku i doświadczenia w mojej wspólnotce kościoła to wciąż niechęć kolekcjonuję kolejne gafy. Gdy przed ścianą domowych zdjęć z rozlicznych podróży pytam studentkę prawa o wymarzony cel podróży, odpowiada od razu: *misje w Indiach*. Sypie nazwami regionów, w których ludzie nie słyszeli jeszcze o Chrystusie. Na koniec wyszukuje sprawnie w swoim najnowszym Iphonie nazwę salezjańskiej wspólnoty organizującej misje także w "bezbożnej Szwajcarii i Francji,

gdzie odsetek samobójstw młodych ludzi pozbawionych sensu życia woła o pomoc"- mrużąc pod nosem, że to konieczne kierunki dla chrześcijanina. Jakby było mało, moja rozmówczyni przez podróż na ŚDM nie mogła stawić się na najważniejszym egzaminie na uczelni. A ponieważ profesor złośliwie nie chciał zgodzić się na jego przeniesienie -straciła cały rok akademicki. Jak twierdzi-tylko rodzice rozpaczali przez tydzień. Ona przecież wie, że podążanie za Chrystusem wymaga poświęceń.

Przez nasz dom przewinęło się 12 osób, z których każda wydawała się nietuzinkowo pięknym "rasowym" egzemplarzem chrześcijanina. Oto nagle dzięki zaproszonym pielgrzymom zaczęliśmy się modlić przy posiłkach, śmiać i przytulać na widok każdego domownika. Także żegnać z zapewnieniem o modlitwie i na głos dziękować Bogu za każde otrzymane dobro. Nie wiadomo też było dokładnie, gdzie przebiega granica między ich dojrzałą formacją chrześcijańską a wysoką kulturą osobistą, wprawiającą w niemałe osłupienie. Gdy się okazało, że około 60% Argentyńczyków z tego regionu ma korzenie włoskie zagadka ich wyśrubowanych norm obycia w towarzystwie, eleganckiego zachowania przy stole odrobinę się wyjaśniła. Spontaniczność i otwartość tak typowa przecież dla ludzi z tego regionu niejednokrotnie wprawiała w popłoch parafian naszego kościoła. Znak pokoju okazywany bliźniemu z typowo polską wstrzemięźliwością i wyuczonym grymasem przemieniał się tu nagle w wyjęty spod władzy czasu seans uścisków, przytuleń, bezceremonialnie okazywanej sympatii. Ich muzyczne talenty w rytmach nieco obcych dla naszego ucha przekonywały, że śpiew i taniec jest integralną częścią życia i modlitwy w Argentynie. Nie było też łatwo wytłumaczyć im dlaczego parafianie naszego kościoła nie zbierają się (co tydzień!) na piknikach, gdzie rozmowa i taniec stanowią naturalną formę podtrzymywania bliskiej więzi.

Oczywiście, jednym z narzędzi ewangelizacyjnych wyjątkowo trafiających w czułe receptory młodzieży jest facebook, którym ojciec Roman posługuje się nader sprawnie, podobnie zresztą jak komunikatorami rodzaju Instagram i WhatsApp. Wiadomości jakie rozsyła swym wychowankom - wielu polskich, zwłaszcza postępowych katolików uznałoby za dewocyjne lub obciachowe, bo mocno przynależne pobożności ludowej. Posty wypełnione są wspominkami świętych i męczenników za wiarę, świadectwami przeżywania regionalnych świąt patronalnych i odpustów, ilustracjami motywującymi do troski i bezinteresownej miłości wobec innych. Teksty zamieszczonych modlitw podkreślają status człowieka jako bezbronnego dziecka Bożego, prostaczka oczarowanego Bożą dobrocią. Dydaktyczne wpisy zawierające wezwania typu: "Śmiej się codziennie, a nie tylko jak robisz sobie selfie, Rozmawiaj z ludźmi ale nie przez komórkę, Baw się na całego ale bez alkoholu itd" - także mają swoje stałe miejsce i nikt z młodych nie czuje się obrażony, że ktoś im sugeruje pracę nad sobą zamiast zachwyków "brawo ja!".

Dużo miejsca poświęcają wspomnianiu współczesnych ofiar prześladowania za wiarę. Niezwykle dramatycznie brzmią pytania dlaczego Europa i świat zaglądają w paszporty osobom ginącym z rąk islamistów, dlaczego ofiary zamachów z Paryża czy Belgii są ważniejsze od cichych śmierci chrześcijan w Lahore (w Pakistanie) lub zamordowanych sióstr zakonnych w Jemenie. Zadziwia ilość lajków, ciepłych słów, jakie między sobą wymieniają na komunikatorach, także z rodzinami i przyjaciółmi pozostawionymi w kraju. Mimo ich pełnych humoru opowieści jak bardzo się kłócą i jak często padre Roman solennie im poprzysięga, że to ostatnia wspólna wyprawa jakiej podjął się z tak rozbestwioną dżiatwą - nie widać śladu niesnasków, czy kłótni. Ani razu przez sześć dni nie zauważyłam fochów, kłótni choć cała grupa

Argentyńczyków rozpoczęła swoją pielgrzymkę już pierwszego lipca, lądując na lotnisku w Madrycie. Stamtąd pociągiem docierali do kolejnych stolic europejskich śpiąc w dostępnych domach rekolekcyjnych, szkołach lub najtańszych pensjonatach. Zanim dotarli do Warszawy, trzy ostatnie noce spędzili w dalekobieżnych pociągach, jedząc na szybko jedzenie z gatunku "byle co". *"To szaleństwo, szaleństwo!"* - powtarzał w kwaśnym uśmiechu ich 69-letni kompan, lekarz i drugi obok księdza-starszy opiekun grupy, gdy opatrywał w naszym domu swoje obolałe, spuchnięte stopy. "Trzy lata zbierali pieniądze na tę wyprawę. Pracowali w każdy weekend marząc, aby przy okazji zobaczyć po raz pierwszy i pewnie ostatni wszystkie najpiękniejsze zabytki starego kontynentu. Ale ja za nimi już nie nadążam, już odpadam z gry. Robimy dziennie 20 km pieszo, żeby oszczędzić na komunikacji, w pocie czoła biegamy od zabytku do zabytku po czym nocą przemierzamy się do kolejnego miasta. Nie wiedziałem, że zapisuję się na pielgrzymkę dla miłośników sportów ekstremalnych". Wszystko to, wypowiadał bez cienia złości, bo mimo wieku i chwil słabości był też pielgrzymem niebywale roześmianym, pokornym i nienarzucającym się, choć przecież o szczególnym autorytecie. Jako emerytowany dyrektor szpitala założył w swoim miasteczku małą fundację wspierającą ludzi starych i będących już na marginesie społeczeństwa. Zajął się nie tylko ich kondycją fizyczną jako swego rodzaju trener personalny i lekarz sportowy, ale też pomocą psychologiczną, przywracaniem poczucia wartości, sensu u schyłku niełatwego życia.

Większość młodych rzeczywiście ciężko pracowała, żeby wyłuskać fundusze na pielgrzymkę życia. Studenci godzą zajęcia na uniwersytecie z pracą w charakterze sprzedawcy, kuriera, sprzątacza. Młodszy (14-18 lat), którzy wciąż uczą się w progach "Seminario Jesus Maria" pomagają w weekendy przekształcić mury swojej szkoły w

hostel dla gości przyjeżdżających na okoliczne festiwale folkloru lub pokazy rodeo. Pieką też ciastka i sprzedają na festynach. O tym ile wymagało to od nich motywacji i determinacji, można się tylko domyślać. Pomimo wojaży przez Madryt, Barcelonę, Paryż, Londyn, Rzym, Asyż, Wenecję, Wiedeń nie stać ich było nawet na zakup drobnych pamiątek. Niektórzy sprawili sobie małe gadżety, parę osób kupiło koszulki, pozostali musieli obyć się bez materialnych pamiątek. Kupowanie i konsumpcja nie jest zresztą ich mocną stroną. Nie zapomnę dość symptomatycznej wymiany zdań z księdzem Balossino podczas sobotniego przedpołudnia: "Czy jutro, pojutrze obchodzicie jakieś wielkie święto kościelne lub narodowe?" - zapytał, "Nie, skądże, a czemu ksiądz pyta?" "Bo jak szedłem do was przez osiedle to wszyscy chodzili z takimi wypchanymi jedzeniem siatami...".

Wielkie wyzwanie jakim była opieka nad grupą 40 młodych ludzi w największych miastach Europy musiała kosztować go naprawdę mnóstwo zmęczenia, uważności, cierpliwości. Jeden pielgrzym "zgubił" kilka biletów, na które zarabiał przez ostatnie lata, inny zostawił komórkę w pociągu, trzecia zaś ledwie postawiła stopę na dworcu w Warszawie a dostała już mdłości i gorączki. Patrzyłam na padre Romana z najszczerzym podziwem. Nie tylko wydawał się człowiekiem niewyprowadzalnym z równowagi, ale jego żarliwy, skupiony wzrok przy ołtarzu upewniał mnie, że służy tym dzieciakom za pomost z Niebem.

"Wiesz - mówiła mi jedna z dziewczyn - ile razy Padre dowie się, że któryś z naszych wyrwał się na piwo -kłęczy i modli się przez następne godziny w jego intencji. Jest niezwykle nieprzejednany w temacie alkoholu i seksu przed ślubem. Wciąż nas uczy, że miłości nie wypróbujemy się przed sakramentem miłości".

Ksiądz Roman stanowi więc rzadki, nawet u nas, przykład konserwatyizmu i poszanowania nauki Kościoła w całej rozciągłości. Oczywiście polscy tradycjoniści mogliby się nieco naburmuszyć obserwując Mszę z udziałem żywołu południowo-amerykańskiego: ukradkiem rozdają sobie tik-taki, a to przytulają, gadają, Komunię Św. oczywiście biorą na ręce i najchętniej odtańczyliby na koniec coś ze swego repertuaru. Za to wspólnie z tradsami mogliby powyrzekać na "pieśni" zafundowane pielgrzymom podczas Mszy Św. przy Świątyni Opatrzności. Hard-rockowa kapela 2Tm 2,3 naraziła uszy zebranych na niemałe oszołomienie i sporą dawkę konsternacji, której nie ukrywali nasi goście.

Następnego dnia znów zostali objęci muzycznym eksperymentem, bo gdy pierwszy raz usłyszeli chrapliwy głos starego organisty i dźwięk piszczałek -obejrzeli się gwałtownie jak na komendę, a ich twarze stężały od przerażenia. Inna wrażliwość, inne nawyki, inne "tiki" modlitewne. Muzyczny folklor argentyński jest wciąż tam mocno obecny, bo zamiłowanie do tradycji w każdej postaci obnosi się z dumą. Więź z rodziną jest tak silna, że nawet zdjęcia profilowe na FB uginają się pod ciężarem roześmianych członków rodziny. Trzeba pochwalić się wszystkimi pokoleniami, kuzynami, licznym rodzeństwem. Taka ich uroda, dodajmy- do pozazdrosczenia. Kraj, który jeszcze nie ostygł po głębokich ranach wojny domowej ostatniego półwiecza, podzielony i obolały od wspomnień, których jeszcze do niedawna nie wolno było wypowiadać na głos- może się pochwalić tak ciepłymi i serdecznymi ludźmi, którzy w znakomitej większości wciąż gorliwie wyznają wiarę w Chrystusa. Ksiądz Roman podpuszczony przeze mnie, aby powiedział co generalnie myśli o Europejczykach, uśmiechnął się kłopotliwie i powiedział: "*no cóż, wydają się być tacy...sceptyczni*". Trafił w sedno. Dziś jak mało kiedy, wybitnie ceni się umiarkowany sceptycyzm i

postęp z kręgu kawiarnianych bywalców. Zaś gorliwość jego służby, wiara, pryncypia, całodobowe zafiksowanie na sprawach duchowych świadczą, że ksiądz Roman jest wyjątkowym kapłanem. Nie mam wątpliwości, że wielu z jego wychowanków wyrośnie na wspaniałych ludzi bezkompromisowo oddanych Ewangelii. Patrząc na nich wielokrotnie myślałam sobie, że to jednak niebywałe odwiedziny dla starego kontynentu – przyjechała „sól”, która u nas straciła już wiele ze swego smaku...

Małgorzata Wołczyk